All communications must be addressed:

J. F. SMULSKI & Co.
565 Noble St.
CHICAGO, ILL.

J. F. SMULSKI i Sp.
wydawcy.



Wychodzi co czwartek.

Kosztuje rocznie $1.00 Abonenci Gazety Katolickiej płacą tylko 50 c; do Europy: z Gazetą $3.00, bez Gazety $1.50. Abonament musi być naprzód opłacony. Pokwitowań nie ogłasza się. Gaz. Katolicka sama kosztuje $2,00.

Rok XV. CHICAGO, ILLINOIS, 1go LIPCA 1897 ROKU. Nr. 26.

Entered at the Post Office of Chicago, Ill. as second class matter.

Aprobowany przez Najprzewiel. Arcyb. P. A. Feehan z Chicago.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

KALENDARZ. – Czwartek 1 Lipca, Teobalda. Piątek 2 Lipca, Nawiedz P. M. Sobota 3 Lipca, Eulogiusza. Niedziela 4 Lipca, Proroka. Poniedziałek 5 Lipca, Cyryla i Metodego. Wtorek 6 Lipca, Izajasza. Sroda 7 Lipca, Wilibald.

Na Niedzielę IV po Zielonych Świątkach.

Ewangielia św. Łukasza w rozdziale V.

Onego czasu: Gdy rzesze nalegały na Jezusa, aby słuchały słowa Bożego, a On stał podle jeziora Genezareth. I ujrzał dwie łodzie stojące przy jeziorze; a rybitwy wyszli byli i płókali sieci. A wszedłszy w jednę łódź, która była Szymonowa, prosił go, aby maluczko odjechał od ziemi. A siadłszy uczył rzesze z łodzi. A gdy przestał mówić, rzekł do Szymona: Zajedź na głębią, a zapuść sieci wasze na połów. A Szymon odpowiedziawszy, rzekł mu: Nauczycielu! przez całą noc pracując, niceśmy nie ułowili. Wszakże na słowo Twoje zapuszczę sieć. A gdy to uczynili, zagarnęli ryb mnóztwo wielkie, i rwała się sieć ich. I skinęli na towarzyszów, co byli w drugiej łodzi, aby przybyli i dopomogli im. I przybyli i napełnili obie łodzie, tak iż się mało nie zanurzały. Co widząc Szymon Piotr, upadł u kolan Jezusowych, mówiąc: Wynijdź odemnie! bom jest człowiek grzeszny, Panie. Albowiem go było zdumienie ogarnęło, i wszystkich, co przy nim byli, z połowu ryb, których pojmali; także też Jakóba i Jana, syny Zebedeuszowe, którzy byli towarzysze Szymona. I rzekł Jezus do Szymona: Nie bój się; odtąd już ludzi łowić będziesz. A wyciągnąwszy łodzie na ziemię, wszystko opuściwszy, szli za nim.

Tyle jest słów Ewangelii św. na Niedzielę dzisiejszą.

Na święto Matki Bozkiej Szkaplerznej.

(Dnia 16-go Lipca.

Powstanie.

Nabożeństwo i Bractwo Szkaplerza św. zawdzięcza swe powstanie słynnemu objawieniu się Matki Bozkiej, które miał 16go Lipca 1251 w Cambridge (czyt. Kambrycz) w Anglii święty Szymon Stok, Generał zakonu Karmelitów na Zachodzie. Od długiego czasu błagał Święty bezustannie Matkę Bozką o Jej opiekę nad swym prześladowanym zakonem. Wtedy ukazała mu się sama Matka miłosierdzia, trzymała Szkaplerz w ręku i rzekła: ,,Odbierz, ukochany synu, Szkaplerz twego zakonu; jest to szczególnym znakiem łaski, jaki dla ciebie i dla dzieci na górze Karmel wyprosiłam; kto tym ubiorem przyodziany umrze, zostanie od ognia piekielnego zachowanym. Jest on znakiem zbawienia, tarczą w niebezpieczeństwach, zadatkiem szczególnego pokoju i opieki.'' Bardzo uczony i sławny Papież Benedykt XIV. wyraźnie oświadczył, że wierzy w to objawienie, i że według jego zdania każdy w to wierzyć musi.

Jak wspaniałą i pouczającą jest ta obietnica miłosiernej Matki Bozkiej, że ubrani w Szkaplerz zostaną zachowani od piekła, to przecież samo się przez się rozumie, że do tej łaski nie mogą sobie rościć pretensyi ci, którzy spuszczając się zuchwale na Szkaplerz, brną dalej w grzechach i występkach. Kto łaski, jakie mu Marya chce wypośredczyć, odpycha od siebie niepoprawnem ser-

cem, ten w niwecz obraca Jej obietnice. Dla tego bardzo pięknie mówi święty Szymon w liście, w którym swym braciom zakonnym donosi o tej obietnicy: ,,Bracia, zachowując te słowa w sercach waszych, starajcie się powołanie wasze dobremi uczynkami zapewnić i nigdy niepopuścić. Czuwajcie i bądźcie ustawicznie wdzięcznymi za tak wielkie miłosierdzie i módlcie się bez ustanku, aby się to słowo, które się stało do mnie, wypełniło''.

Szkaplerz św. jest odznaką służby, jaką Maryi poświęcamy, podobnie jak służący na dworze królów i książąt mają swe osobne odznaki i noszą osobne ubiory. Ale stojąc w służbie Maryi, musimy Jej wolę wziąść sobie za prawidło naszego życia. Tymczasem Jej wola zgadza się z wolą Boga całkowicie, a to nie jest nic innego, jak nasze uświęcenie przez modlitwę, walkę i dobre uczynki.



Jeszcze jedna łaska zbawienia przyłączoną jest do Szkaplerza świętego. W pół wieku po cudownem objawieniu, które miał święty Szymon, ukazała się Najświętsza Panna Papieżowi Janowi XXII. (1334), aby mu polecić zakon na górze Karmel. Nawet rozciągnęła swą czułą pieczę do przyszłego życia, przyrzekając pomagać duszom Bractwa Karmelitańskiego w czyścu, a tak rychło jak można, szczególniej w poświęcone Jej Soboty, wyzwolić je z czyśca. Papież Benedykt XIV. podjął się obrony i tego objawienia. Papież Paweł V. (1613) pozwolił Karmelitom o tej pobożnej wierze miewać kazania, i wyraża się o tem w następnych słowach, gdzie zarazem podane są warunki, pod któremi rychłego uwolnienia z czyśca przez Maryą spodziewać się mamy: ,,Chrześcianie mogą wierzyć, co się opowiada o korzyści, jakiej dostępują członkowie Bractwa Szkaplerznego przez to, że Najświętsza Panna swą nieustającą przyczyną, swemi prośbami, swemi zasługami i swą szczególną opieką, mianowicie w Soboty, który to dzień Kościół poświęcił Maryi, otoczy dusze tych zmarłych członków, którzy pomarli w chrześciańskiej miłości, w swem życiu nosili Szkaplerz święty, zachowali czystość według stanu, godzinki do Najświętszej Panny odmawiali, w Środy i w Soboty wstrzymywali się od pokarmów mięsnych.

Rozszerzenie.

Św. Szymon Stock nie chciał tych obfitych błogosławieństw zatrzymać tylko dla siebie i dla swego zakonu, tylko starał się o jego rozległe rozszerzenie w Kościele katolickim. I książęta i ludy, zachęceni temi obietnicami, garnęli się zewsząd do owych pobożnych zakonników, którym Bogarodzica powierzyła ów klejnot do przechowywania i rozdzielania. Tak Szkaplerz zdobił piersi najpobożniejszych, najszlachetniejszych i najodważniejszych mężów. Prócz wielu Papieży w dawniejszych czasach, nosili wszyscy nowsi Szkaplerz z poufaniem i uszanowaniem. Kiedy Kardynał Hippolit Aldobrandini, św. Filipa Neri zaufany przyjaciel, został 30. stycznia 1592 wybrany na Papieża i pod imieniem Klemensa VIII. na stolicę wstąpił, wtedy urzędnik według zwyczaju zdejmując z niego ubranie kardynalskie, aby go ubrać w papieskie, chciał mu zarazem zdjąć szkaplerz. Ale pobożny Papież na to nie zezwolił, mówiąc: 'Zostaw

mi Maryą, boby Marya mogła mnie opuścić."

Sw. Edward, król angielski, św. Ludwik, król Henryk IV., Ludwik XIII. i XV francuzcy, cesarz Ferdynand II. i III., królowie hiszpańscy i portugalscy nosili Szkaplerz pod swym królewskim płaszczem, pod pancerzem, i nim ozdobieni wychodzili na pole bitwy i na zwycięztwa. Ale i lud chrześciański nosił i nosi od dawna aż do dnia dzisiejszego ową skromną sukienkę, tak, że nie ma żadnego nabożeństwa, któreby (po Bractwie Różańcowem) doznało w świecie takiego rozszerzenia.

Cel.

Cel Szkaplerza i Bractwa Szkaplerznego jest następujący:

1. Przez obraz Maryi, który w Szkaplerzu nosimy na sercu, ma się w sercu naszem wzbudzić i ożywić żarliwe uwielbienie, dziecięca miłość i ufność;

2. Przez wspomnienie na obraz N. Panny na sercu ma każde nieczyste uczucie w sercu być przytłumionem;

3. Przez pamiątkę Maryi na Szkaplerzu mamy być od wszelkiego grzechu zachowanymi;

4. Matka Bozka chce przez Szkaplerz zapewnić nam swą przychylność i miłość macierzyńską, oraz swą szczególną opiekę;

5. Przez bractwo Szkaplerzne ma być z jednej strony cześć Maryi, z drugiej strony Jej opieka w jak najlepszy sposób szerzoną.

KRZYŻ NADWIŚLAŃSKI.

Powieść LEONA K....

Ciąg dalszy.

III.

Upłynęły już dnie i tygodnie od czasu przybycia młodzieńca pośród rodziny Jastrzębskich; szybko ubiegał czas w miłej wiejskiej ustroni, osłodzony szczerą uprzejmą gościnnością. Bohdan prędko potrafił sobie zjednać serca całej rodziny. — Ze starym Jastrzębskim umiał pomówić o gospodarstwie, o wojnach napoleońskich, staruszce miał zawsze co do powiedzenia o obcych dalekich krajach, które zwiedził niedawno, dla Kazimierza, który go jak brata pokochał, był serdeczny, przyjacielski, Marynię, z którą podobno najwięcej przestawał tak ładnych piosnek powyuczał. — To też polubili go wszyscy i młodzieniec musiał dzień po dniu zwlekać chwilę odjazdu na szczere prośby swoich gospodarzy.

Lecz wkrótce najmniej przenikliwe oko było w stanie odkryć powód, dla którego Bohdan nie spieszył się z odjazdem; młoda Marynia widać silne na nim zrobiła wrażenia; na przechadzkach, przy fortepianie był jej nieodstępnym towarzyszem i nieraz z tak szczególnym wyrazem wpatrywał się w tę twarz niewinną dziecięcą; nie raz siedząc przy niej, zdawał się nie słyszeć zapytań Kazimierza i opowiadań staruszki, a ile razy przyszło mu podać młodej dziewicy rękę na przechadzkę, nie mógł pokryć wyraźnego wzruszenia, wszystkie te drobnostki co zdradzają miłość choćby najstaranniej ukrywaną, nie uszły zapewne uwagi Jastrzębskiego, lecz starzec nadto widać ufał swemu gościowi, aby miał mu brać za złe, że się stara podobać Maryni; — tem bardziej, że ta chęć podobania nie przechodziła prawie nigdy granic prostej grzeczności.

Jedna tylko osoba więcej niż ktokolwiek inny zwracała uwagi na całe postępowanie Bohdana. Był to pan Grzegórz, który zdawało się wszystkich starań dokładał, aby odkryć i przeniknąć wszystkie stósunki młodzieńca. — Ile razy Bohdan list wysłał na pocztę lub z poczty odbierał, pan Grzegórz nie omieszkał zatrzymać posłańca, aby

przynajmniej adres przeczytać, lecz widać z nazwiska nieznajomego sobie nie mógł zrazu żadnych wyprowadzić wniosków. — To ciągłe tajemne śledzenie musiało go w końcu naprowadzić do odkrycia tego, cze go żądał.

Pewnego dnia było to przed wieczorem, młody Bohdan zostawał sam jeden w starym pałacu, w tym samym pokoju, który mu od początku na mieszkanie przeznaczono. Stary Jastrzębski wyszedł w pole — Kazimierz wyjechał do najbliższego miasteczka.—Młodzieniec widać korzystał z tej chwili, aby użyć kilka chwil samotności — siedział przy stole oparłszy głowę na ręku, zdawał się bić z myślami, czasem marszczył brwi, czasem zrywał się nagle i chodził po pokoju nierównym krokiem, zatrzymując się przed drzwiami prowadzącemi do dalszych komnat, lecz te drzwi, które tyle razy próbował otworzyć, zawsze były zamknięte. Usiadł w końcu, wziął pióro i zaczął pisać list następujący:

Kochany Stryju!

Od miesiąca blisko znajduję się w domu zabójcy mego ojca, mieszkam w pałacu naszym, który stoi pustkami, piszę do ciebie w pokoju, w którym nieraz igrałem na kolanach drogiego ojca. — Przybyłem w miejsca rodzinne z sercem rozdartem — karmiłem w duszy słuszną zemstę, którą we mnie wpoiłeś... a dziś kochany stryju czuję, jak postanowienie moje słabnie, doznaję tej słabości, która się w serce wkradała, kiedy mam ugodzić bezbronnego wroga.—Ten Jastrzębski ma córkę....

W tem miejscu młodzieniec przestał pisać na chwilę, czoło podparł dłonią i patrząc w ogród zdawał się pogrążać w dumaniu, niedługo śród ciemnego szpaleru mignęła sukienka Maryni. Bohdan rzucił pióro, porwał się od stołu i zostawiając drzwi otwarte, wybiegł szybko do ogrodu, nie spostrzegając, że z górnego piętra pałacu, gdzie był skład sprzętów gospodarskich, schodził p. Grzegórz z kluczami w ręku. — Starzec zatrzymał się, popatrzył za odbiegłym — zajrzał przez otwarte drzwi do pokoju Bohdana, wzrok jego zatrzymał się na stoliku gdzie leżał list niedokończony, zastanowił się na progu i po chwili szybko przystąpił do stołu — zaledwie przeczytał pierwsze wyrazy, zacisnął pięści....

— To Linowski — wiedziałem — zawołał, a czoło jego marszczkami zorane, pokryła jakaś dzika ponurość — wyszedł z pałacu, a spiesząc ku dworowi. — Jastrzębski, mówił do siebie, musi się dowiedzieć, kogo ma w swoim domu.

Tymczasem Bohdan, który był wybiegł do ogrodu, zbliżył się ku altanie, co leżała na końcu szpaleru, przez gęste krzewy, które już jesień przerzedzać zaczęła, doleciało go kilka urwanych tonów cicho nuconej piosenki. — Młodzieniec westchnął i wolnym cichym krokiem zbliżał się do wejścia. Młoda Marya nie ujrzała przybyłego, była zajęta zestawianiem doniczek z kwiatami, które już na pół z liści ogołocone, stały rzędem obok siebie. — Dziewica dotknęła każdego kwiatu, obejrzała wszystkie, jakby się smucąc nad ich bliskiem zgonem, a po chwili lekka, pusta, pobiegła ku drzwiom altany i wpadła prawie tuż na młodzieńca. — Marynia krzyknęła zarumieniona. — I oboje stali chwilę z oczami spuszczonemi ku ziemi, nie mówiąc nic do siebie. — Dziewica chciała odejść. — Bohdan ją wstrzymał, odzywając się nieśmiałym głosem.

— Panno Maryo, chciałbym z panią parę słów pomówić.

Dziewica już skłaniała usta do uśmiechu — lecz ton uroczysty, z jakim młodzieniec starał się wymówić te słowa, mimowolnie wniknął jej do duszy — spojrzała na niego i po chwili cichym odrzekła głosem:

— Słucham pana....

Młodzieniec zaczął nieśmiało...

— Panno Maryo — niedługo opuszczę dom twoich rodziców — przed mojem oddaleniem chciałbym pani wyjawić to, co kamieniem ciąży na mojem sercu i tak z czasem odkryje się wszystko, ludzie mogą o mnie wiele złego powiedzieć — ale w oczach twoich panno Maryo, która masz serce tak czyste, tak szlachetne, chciałbym się wytłomaczyć, usprawiedliwić.

Marya patrzała na młodzieńca z wyrazem przestrachu, jakby nie mogąc zrozumieć znaczenia słów jego.

Tymczasem młodzieniec mówił dalej głosem coraz bardziej drżącym.

— Panno Maryo, jesteś niewinna i młoda — ja jednak myślę, że moje serce odgadło uczucie, którem mnie natchnęłaś, od czasu kiedy jestem przy tobie, mój wzrok, moje słowa zapewne odkryły ci, że cię kocham miłością czystą, prawdziwą, miłością, która się tylko z mojem życiem skończy.

I młodzieniec wzruszony przestał mówić na chwilę — ona ze spuszczonemi oczyma, z twarzą zarumienioną radością czy wstydem — obrywając listki kwiatu, który w ręku trzymała, wyrzekła nieśmiało i cicho:

— Ja nie wiem..... możem ja nie powinna słyszeć tego wyznania, które....

— O tak, wiem co pani chcesz powiedzieć—przerwał młodzieniec—wiem, że powinienbym może zwrócić się do twoich rodziców — powiedzieć ze szczerością twojemu ojcu.... ale nie mówmy o twoim ojcu... nie chcę przeklinać człowieka, który ci dał życie.... Maryo! przepaść między nami położona — przepaść, której przebyć nie podobna. — Ja nie mogę udać się do twoich rodziców, bobym im musiał wyznać, żem pod obcem imieniem wszedł do ich domu — że....

— Jakto.... któż więc pan jesteś—zawołała Marya ze drżeniem.

— Co panią obchodzi moje nazwisko— dosyć ci wiedzieć, że jestem nieszczęśliwym i że cię kocham nad życie i że nigdy twoim nie będę.

— Nigdy!.... powtórzyła dziewica — a to jedno słowo zdradziło uczucie, o którem w niewinnej swej prostocie nie wiedziała może. — W sercu jej było dotąd tak cicho spokojnie, teraz przyszedł pierwszy powiew co zakłócił tę spokojną powierzchnią, czystą jak powierzchnia jeziora. — Jej serce spotkało się z pierwszą przeciwnością w życiu, tam gdzie dotąd kwitnęły kwiaty, odkryła się nagle przepaść przed jej wzrokiem. — Opuściła głowę w milczeniu ku piersiom, a w piersiach zbierał się żal jakiś nieopisany, co nie długo miał wybuchnąć w płaczu. — Młodzieniec chciał wziąść jej rękę, Marya cofnęła ją.

— Pani pogardzasz mną, zawołał z rozpaczą — być może, żem zasłużył na pogardę — wszedłem w dom ten pod przybranem nazwiskiem, żywiąc w sercu zamiary krwawej zemsty. — Ale trzeba wiele przebaczyć nieszczęśliwemu sierocie, co wzrósł w smutku w oddaleniu od ojczyzny, którego serce zamiast koić, rozdrażniano jeszcze — któremu z młodu wpajano myśl zemsty — .... a jednak gdym tu przybył to sama obecność twoja potrafiła mnie odmienić — przy tobie zapomniałem wszystkiego jakby mi nikt nigdy nic złego nie zrobił — i dzisiaj dla ciebie przebaczam człowiekowi, który....

— Pan mówisz o zemście — więc pan jesteś....

— O! nie wymawiaj pani mego nazwiska — jakby chcąc wstrzymać słowa na ustach dziewicy — moje nazwisko przywodzi mi na pamięć to, o czembym chciał zapomnieć — odjeżdżam dziś i nie zobaczę cię nigdy zapewne. — To, czegoś pani dziś w słowach moich nie zrozumiała, wyświeci się z czasem dla ciebie, a kiedy ludzie potępiają mnie, ty w sercu swojem powiedz sobie, że jeślim był złym człowiekiem, to miłość dla

ciebie uczyniła mnie lepszym, szlachetniejszym — powiedz sobie, żem dla ciebie zapomniał łez moich, mojej przeszłości tułaczej — i wspomnij nakoniec, że ja gdziekolwiek będę, nie przestanę cię kochać, ubóstwiać... Maryo.... moja....

Dziewica wzruszona blada coraz bardziej — siły jej brakło i bliską była upadku. — Bohdan chciał się zbliżyć do niej, aby ją wesprzeć, lecz na alei usłyszał kroki zbliżające się ku altanie, wybiegł więc, aby przychodzącemu nie dać spostrzedz wzruszenia, w jakiem znajdowała się Marya. O kilkanaście kroków spotkał starego Jastrzębskiego.

Starzec lekko uchylił głowy i oba jakiś czas postępowali w milczeniu obok siebie.

— Mam z panem parę słów pomówić— wyrzekł Jastrzębski, prowadząc młodzieńca do swojego pokoju, a po chwili dodał tonem poważnym i surowym.

— Panie Stanisławie Linowski, w imię honoru zapytuję się ciebie, z jakich powodów wszedłeś w dom mój pod przybranem nazwiskiem?

Młodzieniec zadrżał jakby ze snu przebudzony, podniósł głowę, oczy jego zapaliły się ogniem, zdawało się, że wybuchnie ze zgrozą lub gniewem, lecz snać po krótkiej walce ze sobą, przybrał ton obojętny i odrzekł prawie spokojnie.

— Nie wiem, jakim sposobem odkryłeś pan moje nazwisko, lecz jeśli obecność moja niemiłą jest panu, to oznajmiam, że dziś właśnie zamierzam opuścić dom jego na zawsze, powody, dla których wziąłem cudze nazwisko i przybyłem w dom ten, nie istnieją już dzisiaj — dla tego wyjawić ich nie potrzebuję — więcej pan nie żądaj — i młodzieniec powstał, jakby zabierając się wychodzić.

Jastrzębski go wstrzymał.

— Pan nie możesz opuścić mojego domu, nie powiedziawszy dla czego weń wstąpiłeś. — Ja muszę wiedzieć, dla czego człowiek, którego słusznie uważać mogę za mego wroga — stał się moim gościem — dla czego starał się podobać mojej córce — i dla czego poruszył to młode niewinne serce.

— Dzisiaj — odrzekł Stanisław Linowski — nie chciałbym już wspomnieć przeszłości, bo sam chcę o niej zapomnieć — ale pan masz zbyt słabą pamięć, panie Jastrzębski. — Odkrywszy moje nazwisko, powinienbyś się domyślić powodów, dla których tu przybyłem.

— Wytłomacz się pan cokolwiek jaśniej.

— Jakto, pan sam zmuszasz mnie do odnowienia okropnych wspomnień, chcesz odemnie powodów mojego przybycia?....

I młodzieniec chodził po pokoju z czołem zmarszczonem, widać było, jak wiele go kosztuje ta rozmowa, nagle zatrzymał się przed Jastrzębskim, który zachował całą spokojność i zaczął:

— Już ośmnaście lat temu, w tych tu stronach wszczęło się małe poróżnienie między dwoma sąsiadami — z tego wyrosła nieprzyjaźń, a ta nieprzyjaźń skończyła się zabójstwem, pewnego dnia znaleziono na łące śród boru skrwawione ciało....

— Pan chcesz mówić o śmierci ojca swego kasztelana — pamiętam dobrze to bolesne zdarzenie — ale nie wiem, dla czego je tak przywodzisz....

Ale ja wiem mój panie, zawołał mocnym głosem Linowski — że zabójcą ty jesteś....

Twarz starca najmniej nie została zmienioną — zawsze z tym samym zimnym, obojętnym tonem odrzekł bez gniewu:

— Spokojnie przyjmuję najfałszywszą potwarz, którą na mnie bez rozwagi rzucasz, bo sumienie moje nie wyrzuca mi żadnej zbrodni.

— O, nie zapieraj się — mówił młodzieniec głosem pełnym przekonania — ty tylko jeden w całej okolicy byłeś wrogiem mojego ojca, choć natenczas byłem dzieckiem,

jednak pamiętam dobrze całe okropne zdarzenie i ta noc wyraźnie przedstawia się mojej pamięci, pamiętam, kiedy do pałacu przyniesiono skrwawione ciało mojego nieszczęśliwego ojca, pamiętam, że cała moja rodzina, wszyscy domownicy nasi, wymawiali ze zgrozą imię twoje, nazywając cię zabójcą — ta chwila odtąd została obecną w moim umyśle, a krew, którą w marzeniach i snach moich widziałem, domagała się zemsty—kryjąc twarz rękoma, mówił dalej z boleścią, która mu piersi ściskała — później opuściłem kraj wraz ze stryjem moim pułkownikiem — pamiętam okropną dla mnie chwilę odjazdu i słowa, które stryj mój wyrzekł, prowadząc mnie na grób mojego ojca, — jesteś dzieckiem i nie czujesz ogromu twej straty, lecz gdy urośniesz i poznasz ją, wtedy nie zapomnij, że powinnością twoją będzie zemsta— po niej nadeszły przykre chwile tułactwa — nie miałem już ani ojca, ani domu, w oddaleniu od ojczyzny, serce moje w tęsknocie i goryczy nauczyło się przeklinać sprawcę moich nieszczęść. — Po długich latach błysnęła mi wreszcie nadzieja powrotu do ojczyzny — czułem gwałtowną potrzebę choć na chwilę odetchnąć powietrzem ojczystem... wracam.... o jakaż rozpacz ścisnęła moje serce — kiedy w miejscach rodzinnych, do których mnie łączyły najdroższe wspomnienia, zastaję zabójcę mojego ojca, o! ...... wtedy wszystkie boleści moje, wszystkie łzy zaparte w piersiach odżyły.... potrzebowałem zemsty, żeby choć trochę ulżyć zranionemu sercu mojemu. I niebo zdawało się sprzyjać zamiarom moim, bo zaraz na wstępie w strony rodzinne, na tem samem miejscu, gdzie zginął mój ojciec, spotykam syna jego zabójcy. — Miałem broń przy sobie... było to nocą.... mógłem uczynić zadosyć pragnieniu zemsty, ale uprzedzenie czy jakaś słabość chwilowa wytrąciły broń z mojej ręki.... Te ostatnie słowa do głębi zdawały się wzruszyć starego Jastrzębskiego.

— Ha! to okropnie — zawołał — chciałeś zabić mojego syna. — I nigdy nie przyszło ci na myśl, że się mylić możesz, że twoje przekonanie opiera się tylko na błahych wieściach i niecnej potwarzy?

— Nigdy....

— A ja ci przysięgam na wszystko święte, że to niegodna potwarz tylko, którą źli ludzie rzucili na mnie, a w którą stryj twój pułkownik pozwolił ci uwierzyć.

— Dosyć, nie mówmy o tem — przerwał Linowski — od kiedym poznał córkę twoją panie Jastrzębski, przyrzekłem w duszy zapomnieć mojej zemsty.... Córka twoja uczyniła ze mnie innego człowieka. Czuję, że ją kocham bardzo — byłbym może w stanie uszczęśliwić ją.... ale między nami — dodał z rozpaczą, stoi zakrwawiony trup mojego ojca.

Pod koniec tej rozmowy zatętniały podkowy końskie na bruku przed gankiem i wkrótce Kazimierz wszedł do pokoju; młody Linowski przestał mówić — starzec tymczasem witał się z synem, ukrywając swoje wzruszenie.

— Wystaw sobie ojcze — mówił Kazimierz, sadowiąc się na kanapie — dowiedziałem się w mieście, że Stanisław Linowski z pewnością wrócił do kraju, że go nawet widziano w tych stronach.

— Oto masz Stanisława Linowskiego przed sobą, przyszedł w dom nasz szukać zemsty — wyrzekł spokojnie Jastrzębski, wskazujac na młodzieńca.

— Co? — zawołał, zrywając się Kazimierz — ty Stanisław Linowski — w domu naszym i pod przybranem nazwiskiem — dla wykonania jakiejś zemsty?

— Kazimierzu, przestań.... — odezwał się spokojnie Linowski — przebaczyłem wszystko, dzisiaj opuszczam dom wasz.

— Przebaczyłeś?.... co to ma znaczyć — tylko występnym się przebacza.

— Kazimierzu, wiem, że powinnością

syna jest, bronić swego ojca, choćby ojciec był nawet zbrodniarzem.

— Co! — zawołał Kazimierz zapalony gniewem — więc jesteś tak nikczemnym, że wierzysz najniegodniejszym wieściom, do tego stopnia podłym, że....

Tą razą Stanisław Linowski nie był w mocy ukryć gniewu, co mu błysnął ogniem w oczach — w piersiach jego chęć zemsty stłumiona, przez chwilę odżyła znowu, podsycona zadaną obelgą; już i wspomnienie Maryi nie było w stanie stłumić wybuchu namiętności — postąpil parę kroków, zbliżył się do Kazimierza i rzekł głosem przytłumionym:

— Przysiągłem sobie puścić przeszłość w niepamięć i zapomnieć wszystko człowiekowi, co mi tyle złego wyrządził — lecz nie mogę znieść nowej osobistej obrazy — i muszę bronić mojego honoru. Kazimierzu, żądam od ciebie zadosyćuczynienia natychmiast...

— Z ochotą — odrzekł Kazimierz — lecz dzisiaj już noc prawie.

— Więc się zatrzymam do jutra rana w miejscu, którebym powinien zaraz opuścić.

Kazimierz skinął głową, stary Jastrzębski z giestem rozpaczy powstał i stanął między nimi. — Linowski się odwrócił i wybiegł do sieni. — Kazimierz w milczeniu poszedł do swego pokoju. — Stary Jastrzębski podparł siwą głowę w obie dłonie i wpadł w zamyślenie.

Po chwili otworzyły się drzwi i pan Grzegórz wszedł do pokoju.

— A cóż jak się skończyło? — zbliżając się do Jastrzębskiego.

— Skończy się nieszczęściem. — Będą się pojedynkować.

Pan Grzegórz zgrzytnął zębami i załamał ręce.

Dokończenie nastąpi.

Historya Kościoła świętego.

Ciąg dalszy.

O świątobliwości życia i obyczajów chrześcian pierwszego wieku.

Ojcowie nasi odznaczali się anielską cnotą czystości, a prócz trzeźwości i postu, które są stróżami tej cnoty, posiadali także i wstydliwość. O tej cnocie dowiadujemy się z pism Tertuliana, wymownego obrońcy wiary świętej, który wyśmiał pogan, że o to obwiniali pierwszych chrześcian, co właśnie podnosiło chwałę ich imienia. Sami także poganie poznali, że strata dziewictwa była dla niewiast nowego społeczeństwa najstraszniejsza i często uciekali się do tego środka, by je zmusić do odstąpienia od wiary świętej.

Młodzież chrześcijańska wielce miłowała cnotę niewinności i bardzo wielu ślubowało Bogu dozgonną czystość. Cnota ta była i jest rzeczą cudowną, mogącą powstać na gruncie religii chrześcijańskiej. Zachowywali ją nietylko ludzie wolnego stanu, lecz także małżonkowie; a powtórne związki małżeńskie były rzadkością.

Ta czystość i niewinność odzwierciadlała się także na zewnątrz. Wszyscy podziwiali skromność chrześcijańskich niewiast w stroju i w całem zachowaniu się. Z domu nie wychodziły one nigdy bez zasłony, a nawet w kościele jej nie zdejmowały. Najwięcej czasu spędzały w domu i na ustroniu od wszelkich zabaw i uciech.

Mężczyźni nosili krótkie włosy, o czem świadczą ich portrety znalezione w katakumbach; niektórzy zaś ze wschodu zapuszczali brodę, lecz jej nie trefili, ani też nie farbowali, jak czynili poganie, by się okazać młodszymi i piękniejszymi niż w istocie byli.

Jak w ubiorze, również skromnymi byli w mowie i w spojrzeniu. Nie używali wyrazów sprosnych, ani dwuznacznych, ani płochych żartów. Ich czystość i niewinność w podziw wprawiały pogan i czasem były powodem, że wielu z nich nawróciło się do wiary prawdziwego Boga.

Aby się odróżnić od pogan, uganiających się za złotem, ślubowali przodkowie nasi dobrowolnie ubóstwo; pozostawiali sobie tyle, ile im potrzeba było do zaspokojenia niezbędnych potrzeb życia, resztę zaś dawali Kościołowi na wsparcie wdów, sierót i ubogich. To oderwanie się od rzeczy ziemskich stanowiło ich szczęście i chwałę. Kiedy im przeciwnicy wyrzucali ubóstwo, odpowiadali im ze skromnością: ,,Śmiejecie się z nas, żeśmy ubodzy, lecz my znajdu-

RZEŹ W KROŻACH.

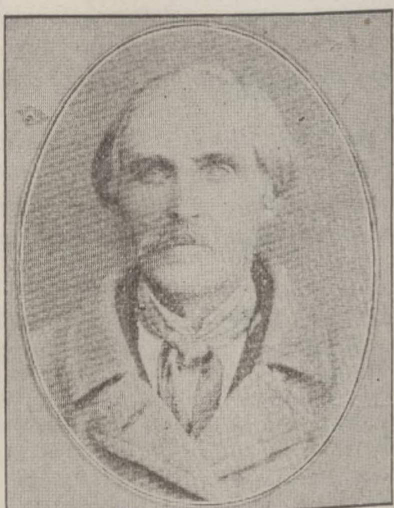


Gub. Klingenberg z Kowna.



Jen. Gub. Orżewskij z Wilna.

WIEŚNIACY Z KROŻ.





(Ryciny zapożyczone z litewskiego tygodnika "Tevyne" wychodzącego w Shenandoah, Pa.)

jemy w niem chwałę, nie poniżenie. Ubogimi nie jesteśmy, bo mamy chleb powszedni, a zresztą chociażby to nasze ubóstwo było największem, to jednak małem jest od tego, w jakiem przyśliśmy na świat. Na tej ziemi jesteśmy tylko wędrownikami, więc mnóstwo rzeczy tamowałoby nam drogę. Ponieważ zaś każdy musi kiedyś złożyć przed Bogiem rachunek z swego mienia, więc lepiej że nie mamy, bo rachunek będzie łatwiejszy. Wyście bogaci, lecz wasze bogactwa tamują wam drogę do doskonałości."

Przeciw wszelkim przewrotnościom pogan stawiali chrześcianie swoje modlitwy, łzy i świątobliwość życia. Dowód na to mamy z ich zajęć domowych. Wstawali bowiem bardzo rano i pierwszą ich sprawą był znak Krzyża świętego, który jest najlepszą bronią przeciw pokusom szatana. Potem ubierali się i myli twarz i ręce, aby i ciało było czyste; myli się także przed modlitwą, którą cała rodzina odmawiała wspólnie.

Jeżeli jeden chrześcianin zamieszkiwał dom, również gorliwym był w modlitwie. Rano przeżegnawszy się, dziękował Panu Bogu, że go przez noc zachował od śmierci i pokus szatana i prosił o potrzebne łaski na cały dzień. W rodzinach zaś odmawiał modlitwy ojciec, a inni towarzyszyli mu sercem. Modły swoje odbywali często w ciągu dnia i wyznaczali godziny, w których wolni od zajęć składali cześć i hołd swemu Stwórcy.

Modląc się, zachowali przyzwoitą postawę. Oto wznosili oczy ku niebu, rozciągali ręce, odkrywali głowę; o tej postawie szli nawet na mękę, mężnie ją znosili i łączyli się z Ojcem wszystkich wiernych — w niebie. Ten przyzwoity ich zewnętrzny układ w czasie modlitwy był bez przesady. Padłszy bowiem na kolana, z twarzą zwróconą ku wschodowi podnosili myśl swą ku Bogu, a przeniknieni uczuciem Jego obecności, rozmawiali z Nim jakby na jawie.

Winy swoje srogo karcili, nieprzyjaciołom zaś przebaczali i błagali Boga przedewszystkiem o dobra dla duszy. Po tych aktach pokory, żalu i uwielbienia, modlili się za siebie, za rodziców, przyjaciół i nieprzyjaciół. Modły swoje kończyli znakiem Krzyża świętego. Po modlitwie udawała się cała rodzina do kościoła, gdzie wysłuchano Mszy świętej i przystępowano do Stołu Pańskiego. Podczas Mszy św. modlono się, słuchano wykładu Pisma św. i śpiewano psalmy. Po ukończeniu wracano do domów, gdzie ojcowie usłyszaną naukę powtarzali tym, którzy jej nie słyszeli. Lecz pomimo, iż tak wiele oddawano się modłom, nie zaniedbywano zajęć domowych.

Widzimy chrześcian na każdem polu naukowem, wojskowem i rzemieślniczem, bo taką była wola Boga, aby nam okazać, że w każdym stanie może człowiek zbawić swoją duszę.

Około południa przerywano pracę i zasiadano do obiadu. Przed posiłkiem czytano ustępy z Pisma ś., modlono się i błogosławiono pokarmy. Wszystko to sprawowali ojcowie rodzin, a jeśli był kapłan obecny, to sam ten urząd sprawował. Po obiedzie odczytywano ustęp z biblii i powracano do pracy, którą przerywano znowu o godzinie trzeciej, by odprawić modły. Przed wieczerzą postępowano tak jak przed obiadem, a później czytano Księgi św. Przed udaniem się na spoczynek modlono się znowu wspólnie. Na modlitwy przeznaczony był poranek, godzina dziewiąta, południe, trzecia po południu i wieczór.

O jakże pięknem było życie naszych przodków! A my miasto je naśladować, mówimy, że wyszło ze zwyczaju, nie pomni na to, iż podług tego, co mówimy i co czynimy, będziemy sądzeni. Niechże więc ta groźba będzie dla nas przestrogą i zarazem pobudką do życia świątobliwego.

Jak nieskazitelnymi i niewinnymi byli nasi ojcowie, widzimy z tego, iż nawet najwięksi ich nieprzyjaciele nic im zarzucić nie mogli. Oto mamy na to dowód:

Pliniusz Młodszy, rządzca Bitynii, tak wielką liczbę zastał w tej prowincyi chrześcijan, że pisał o radę do cesarza Trajana, co ma z nimi zrobić. Całą zbrodnię, jaką im mógł zarzucić, było wyznanie wiary w Ukrzyżowanego Chrystusa, zgromadzanie się przed wschodem słońca na wspólne modły i zobowiązywanie się przysięgą żyć pobożnie, nie kraść, nie cudzołożyć i nie kłamać.

Trajan odpisał mu, aby chrześcijan nie śledził, lecz jeżeli kto zostanie oskarżony o wiarę chrześcijańską, tedy aby go wziął na tortury i zmusił do zaparcia się jej; uporczywych zaś aby karał śmiercią.

O jakżeż dziwny był rozkaz, nie wypadało chrześcijan wyszukiwać, lecz karać, gdy zostali oskarżeni — choć niewinnie. Widzimy więc, że świątobliwie żyli przodkowie nasi. Wstępujmy tedy w ich ślady, a podobną otrzymamy nagrodę w niebie.

Pająk w kielichu. Ks. Arcybiskup Maciej Łubieński odprawiał pewnego razu mszę św. Było już po konsekracyi, gdy nagle wpadł do kielicha wielki czarny pająk. Obecni kanonicy błagali Arcypasterza, aby nie spożywał konsekrowanego wina, chyba po usunięciu pająka. Pobożny Arcybiskup nie dał się niczem zastraszyć, a nie zważając na obrzydzenie, wypił Krew Pańską i mszy św. dokończył. Czując się znużonym, usiadł w krześle i zasnął. Podczas snu w obecności licznych duchownych wyszedł pająk z ust Prymasa.

PRZYJACIEL DZIECI.

Następne stronice poświęcimy wyłącznie dla dzieci i pod powyższym tytułem zamieszczać będziemy nauki dla dzieci, krótkie powiastki moralne, piękne przykłady z historyi polskiej oraz zachęcać będziemy naszych małych przyjaciół, naszą dziatwę kochaną, aby po Bogu nadewszystko kochała rodziców, ojczyznę i mowę polską.

RÓŻA SARONU.

W północnej stronie Ziemi święłej w Galilei, tam gdzie wznoszące się od jeziora Genezareth wzgórza, dosięgłszy wierzchołkami góry Tąbor, skłaniają się znów ku dołowi i w końcu przechodzą w piękną izraelską dolinę, nad brzegami bystrego górskiego potoku, przechadzało się dwóch żydowskich uczonych.

Strumień huczał, polewając wartkim prądem przybrzeżne oleandry, których pnie i korzenie nurzały się głęboko w wodzie, a ponad nią wznosiły się tylko pełne różowego kwiecia korony.

Deszcz padający przez kilka dni w Galilei, zasilił wszystkie górskie potoki i strumienie; płynęły więc pełną falą, pokrywając rosnący obficie papyrus tak, że zaledwie widać było zarysy jego dziwacznie powykręcanych i pokurczonych liści, nie przypominających w niczem owego pięknego wachlarza, w jaki się roztaczają, kiedy je ogrzeją ogniste promienie słońca.

Ziemia w dolinie już obeschła. Odświeżona ulewami, szybko przybrała się w godową szatę, a wystrzelające ponad trawę malwy, liliowce i mak różnobarwny przeważnie czerwony, nadały całej okolicy ten jej tylko właściwy pozór. Tu i owdzie mignęło się stado gazel, albo rój dzikich pszczół zleciał z wyżej położonych lasów oliwnych i z brzękiem ukrył się w koronach palmy daktylowej, lub drzew figowych rosnących na dolinie.

Dwaj hebrajczycy żadnej nie zwracali uwagi na te piękności. Nie na to byli uczonymi, aby drogi czas marnować na takie drobnostki, przewertowali też wszystkie księgi, jakie posiadała błogosławiona ziemia Kanaan i każdy z nich nauczał w jednej z wyższych szkół, w jakie obfitowały i któremi zasłynęły ziemie koło Jordanu.

Każdy piastował godnośc rabina, będąc przedstawicielem innej szkoły. Jeden z nich głosił naukę Faryzeuszów, drugi Saduceuszów. Świątobliwa rozmowa przybierała czasami pozór gwałtownej, wrzaskliwej sprzeczki, co wobec majestatycznej ciszy przyrody, na stoku świętej góry Tabor, której stopy obmywa bystry potok Saronu, czyniło wrażenie dziwnie komiczne. Potok szumi i bieży coraz szybciej, jak gdyby chciał ich zagłuszyć, lub uciec co najrychlej od tej wrzawy.

Nagle rozśmiali się uczeni, a widząc, że nikt ich spostrzedz nie może, poklepali się przyjaźnie, poufale po plecach i usiedli na sterczącym tu, nie wiedzieć zkąd i dla czego odłamie skały. Wśród bujnej roślinności utworzył on, jak gdyby pustą nieurodzajną wysepkę, o której boki rozbijał się spieniony potok.

Czas jakiś milczeli, niedługo wszakże. Rozmowa przeszła na pole filozofii, co przecież nie wpłynęło uspokajająco na wody Saronu, biegły one zdwojonem tempem, jak gdyby pilno im było spocząć w objęciach Jordanu.

Roztrząsano wszelkie możliwe sprawy, tego i przyszłego życia, z dwóch przeciwnych sobie punktów widzenia, dwóch wrogich obozów, Faryzeusza i Sadyceusza. Nie miejsce wyświetlać tu, w jakim były stósunku do systematów filozoficznych, które tak bujnie wówczas powtawały na ziemi pięknej Hellady (Grecyi) i ztamtąd szerzyły się po

całym świecie, nic zresztą na tem nie zależy, a może, kto wie, czy w duszach galilejskich uczonych nie odzywały się prądy naszych czasów....

Poważna zrazu rozprawa zmieniła się po jakimś czasie w gorącą kłótnię.

Sprzeczka mędrców została nagle przerwana rozdzierającym krzykiem dziecięcym. Bawiące się muszlami i kamyczkami na brzegu dziecko, sięgnęło po przepływający owoc granata i wpadło do wody. Spienione fale unosiły broniące się napróżno wątłe ciałko, pogrążając je w swych zimnych objęciach, coraz głębiej i głębiej.

Jednocześnie zerwali się obaj rabini, aby topiącemu się u nóg ich dziecku podać zbawczą rękę.

Niestety w ludziach ozwali się mędrcy!

— Nie, nie i pocóż miałbym je ratować? Kto wie, co czeka to dziecię? jakie boleści i utrapienia mają być jego udziałem? Czyliż nie lepiej dla niego, aby ginęło teraz, dopóki duch jego nie zna nic, krom radości i uśmiechów!

— Ależ to okropne! — krzyknął drugi, składając ręce w pobożnem oburzeniu. — Cóż to za brak miłosierdzia. To wstyd i hańba dla ludzkości! A któż wie, co pięknego, wielkiego, szlachetnego, dokonałoby kiedyś dziecię?

Przyznać trzeba, że przekonawszy się, iż jego słowa tak gnębiąco podziałały na towarzysza, że napróżno szukał on słów na odparcie tego, co posłyszał, zaczął działać. Postąpił aż na sam brzeg wezbranego strumienia, chwyciwszy się gałęzistej oliwy, która odbiegła swe towarzyski, rosnące powyżej w zagajniku i stała tu samotna, jak gdyby umyślnie wyrosła na to, aby dać kiedyś podporę uczonemu — rabin usiłował dosięgnąć biedne dziecię. Szlachetny popęd ratowania nieszczęśliwego topielca uniósł go tak daleko, iż nie uważał, że w przybrzeżnym mule, mokną nietylko nowe jego sandały, ale i nogi powyżej kostek.

Co jednak z początku mogło być łatwem, teraz pokazało się niemożliwem do wykonania. Wystraszone dziecko, bezwiednie uchwyciło się krzewu papyrusu i pomimo kurczowego trzymania się tej wiotkiej podpory, posuwało się po ślizkich wodorostach coraz dalej i dalej. Papyrus wymknął się z drobnej dłoni, a dziecko popłynęło z wodą. Pulchne ramię opadło zmęczone, a po chwili i mała główka zniknęła pod wodą....

Dziecko byłoby utonęło na pewno. Szczęściem zjawił się rybak, czy też dozorca poblizkich winnic, a może tylko biedak jakiś, żywiący się owocem dzikich jabłoni, leśnym miodem i korzonkami i mieszkający w jaskiniach, których w różowym piaskowcu jest tam podostatkiem. Kto on był? mniejsza o to, dość, że nie był to filozof, mędrzec, nie należał do żadnej szkoły, nie był zwolennikiem żadnego systemu.

Zrzuciwszy opończę, bez namysłu, bez zastanowienia, skoczył w wodę, pochwycił dziecię, a trzymając je silnie lewą ręką, prawą walczył ciężko przeciw unoszącemu go prądowi. Zmierzał do miejsca, na którem stali rabini, bo tylko tam brzeg był dogodnym do wyjścia.

Dotarł szczęśliwie i podał dziecko temu, który dotąd trzymał się drzewa oliwnego, lecz kiedy sam chciał stanąć na brzegu, rozmokła ziemia osunęła się pod jego ciężarem. Upadł na wznak, a woda, której nikt nie myślał wydzierać tego nowego łupu, poniosła go i po niejakim czasie wyrzuciła nieopodal, na brzeg skalisty martwe już ciało.

Rabini skorzystali ze sposobności, aby i na ten temat wygłosić mnóstwo sentencyi i głębokich myśli.

Nareszcie wraz z dzieckiem zabrali się z powrotem do Nazaret, sprzeczając się po

drodze, w jakich zasadach dziecko ma być wychowanem, gdyby się ojciec nie znalazł, czy według szkoły Faryzeusza, czy Sadaceusza.

Nagle dziecię poczęło rość w ich oczach i stanął przed nimi mąż z aureolą nad głową, na której kwitnąca cierniowa korona, tak głęboko wbijała swe kolce, że blade czoło spłynęło krwią. Z otwartej rany w boku, również płynęła krew strumieniem. Mędrcy dość byli biegłymi w księgach i świętych proroctwach, aby wiedzieć, kto się przed nimi objawił.

— Czyż nie miałem słuszności? — z przechwałką zawołał pierwszy. — Nie lepiejże byłoby dla ciebie Nazareńczyku, abyś był zginął dzisiaj? Zaiste, byłbyś uszedł wszystkim tym bólom, całemu temu ogromowi cierpień i katuszy, jakie cię wedle proroctw czekają, a które ty poświadczasz takiem objawieniem się przed nami.

— O! wstrzymaj się! Nie bluźnij! — wołał drugi. Czyż razem z nim, nie byłoby zginęło i to, co te bóle i cierpienia przynieść mają!....

Chrystus odwrócił się od nich, poszedł i zatrzymał się nad martwem ciałem ubogiego na duchu człowieka, który nie troszcząc się o to, co jego czyn przyniesie, czy będzie to wskutkach szczęściem, lub nie, poszedł za głosem serca i tylko serca.

Z oczów Chrystusa spływała łza na miejsce, pod którem tak niedawno biło jeszcze serce i z piersi Galilejczyka wykwitnął cudny kwiat zwany ,,Różą Saronu''.

Rabini powrócili do Nazaret, gdzie pod on czas żyło nieznane jeszcze Boże dzieciątko Maryi, żony ubogiego cieśli Józefa, z rodu Dawidowego.

Brzegi potoku, płynącego u stóp góry Tabor obfitowały w mnóstwo kwiatów, które nie wyginęły i wtedy, kiedy urodzajna niegdyś Galileja i ziemia Kanaan zamieniły się w pustynię.

Można je zrywać i dziś jeszcze garściami, a zwłaszcza cudowną różę Saronu.

NALDO

przekład z oryginału angielskiego.

Ciąg dalszy.

— Dzieci się ucieszą — mówił sam do siebie — Lotti będzie miała własnego rycerza. — Twarz pospolita człowieka była prawie piękną w tej chwili. — Ja się przecie obejdę bez kilku obiadów — dodał po chwili. To brak samolubstwa czynił go tak pięknym.

— Patrz tylko ojczulku — zawołała naraz jakaś dziewczynka, która wchodziła z ojcem do jednego z najwspanialszych sklepów — patrz jaki tu ładny chłopczyk z maleńkiemi, białemi myszkami.

Dziewczynka miała śliczną, różową buzię, a z pod jej ciepłej czapeczki wyglądały złote włoski.

— Tak, tak — odrzekł ojciec wymijająco — chodź tylko Ninko i wybierz sobie sama ciastka i cukierki. Spiesz się, bo już i tak zapóźniliśmy się bardzo.

Ale dziewczynka była uparta.

— Nie jesteś dziś dobrym ojczulku — przemówiła na pół z płaczem — to jakiś biedny chłopczyk, a taki zmarznięty i pewno głodny. Zawołaj go tu, a ja mu dam ciastko.

Ludzie popychali się koło drzwi, bo ulica była jedną z najwięcej uczęszczanych, a ojcu Niny trudno było znaleźć chłopca, ale nie chciał zasmucać swojej jedynaczki i po kilku minutach odszukał go w tłumie.

— To Włoch — rzekł sam do siebie, prowadząc chłopca do sklepu — biedne maleństwo, jakże mu zimno być musi; a jaki to ładny dzieciak z temi czarnemi oczami i kręconemi włosami.

— Ojczulku, daj mu trochę pieniędzy— przemówiła złotowłosa dziewczka — dałam mu ciastko, a on mówi coś, czego ja zrozumieć nie mogę, bo mówi takim dziwnym językiem, zdaje mi się jednak, że chce pieniędzy.

— Na co ci pieniądze potrzebne? — zapytał ojciec Niny po włosku.

Dziecko spojrzało na mówiącego z żywym rumieńcem radości na bladej twarzyczce.

— Ach, jak to miło usłyszeć swoją mowę — wykrzyknął, karmiąc myszki okruchami ciastka. — Nic dziś jeszcze nie zarobiłem, bo ludzie wszyscy tak zajęci, a jeżeli nie przyniosę dziś Antoniowi pięciu lirów, będzie mnie bił znowu.

Naldo — on to był bowiem — nie zauważył mówiąc, że jakaś postać o małych, błyszczących oczkach i z uśmiechem na wąskich ustach, śledziła go od drzwi sklepu.

— Prawdę mówię — dodało dziecko z prostotą ale pewną godnością w całem zachowaniu się.

— Jestem tego pewny — odrzekł serdecznie ojciec Niny — a któż to jest ten Antonio? Czekaj jednak, teraz nie mam czasu słuchać tego wszystkiego, bo zanadto jestem zajęty; przyjdź jutro do mnie, a tu masz pięć lirów.

— Niech ci to Bóg wynagrodzi, o panie! — zawołało dziecko, a ojciec i córka oddalili się tymczasem.

Był to dobry pan, szkoda tylko, że nie miał tyle czasu, aby powiedzieć, gdzie mieszkał.

Gdy Naldo i myszki jego posilili się dostatecznie, chciał chłopiec opuścić sklep, ale jakiś człowiek uchwycił go nagle za ramię.

— Oto złodziej! — wykrzyknął rozgniewany — przed chwilą była tu taca pełna pierników, a od pięciu minut zniknęło wszystko. Albo mi natychmiast zapłacisz za to, albo cię każę aresztować.

Naldo nie umiał jeszcze wyraźnie mówić po niemiecku, ale zrozumiał dobrze, co do niego mówiono.

— Ja ich nie ukradłem — wymówił, a twarzyczka jego zbladła okropnie — o, panie, nie każ mi płacić za to, czego naprawdę nawet nie dotknąłem; mam tylko pięć lirów, a jeżeli nie oddam ich wszystkich Antoniowi, będzie mię bił strasznie.

Człowiek nie mógł zrozumieć, co dziecko mówiło, dopiero jakaś kobieta przyszła mu z pomocą.

— Boże mój, przecież pierniki na to były zrobione, aby je zjeść, zdaje mi się. Puść tego biednego malca, bo on i tak już dosyć nieszczęśliwie wygląda — tylko słuchaj, nie przychodź tu kraść więcej!

Naldo opuścił sklep blady; ale z suchemi oczyma. Czuł się zanadto nieszczęśliwym, aby mógł płakać; nie widział nic koło siebie, ani jasnych świateł, które zapalano na ulicach, dzień się bowiem był już skończył i wieczór zapadł, a wystawy sklepowe błyszczały jeszcze świetniej, niż za dnia; nie widział tłumu ludzi, nie słyszał ulicznego hałasu, szedł cicho, w milczeniu, jak duch. Doszedł wreszcie do małej uliczki, przy której stały ubogie, ponure domy, gdzie nie było wspaniałych sklepów, które ściągają kupujących. Naldo skierował kroki ku najwięcej opuszczonemu domowi, ale gdy już miał wejść do sieni, ciężka ręka jakaś spoczęła na jego ramieniu; obrócił czemprędzej głowę i ujrzał tuż za sobą rozzłoszczoną, straszną twarz Antonia, na którego ustach błądził ów wieczny uśmiech.

— Czego chcesz Tonio? — zawołał przestraszony Naldo — mam pięć lirów, ale pozwól mi teraz iść do domu, bo jestem zziębnięty i głodny.

— Tak? — powtórzył Antonio, uśmiechając się ciągle — a przecież chodzisz z panami do magazynów, zajadasz ciastka, jak książę i opowiadasz wszystkim, że ,,Tonio

cię bije". Miałem szczerą chęć zabić cię poprostu, ale odpłacę ci za to wszystko innym razem. Teraz oddaj mi pieniądze, a ponieważ to tak łatwo zarobić w wigilię Bożego Narodzenia, idź mi natychmiast na główne ulice i wyproś, albo ukradnij drugie pięć lirów.

-- Tonio! -- wykrzyknął chłopiec -- jesteś złym i okrutnym! Śnieg zaczyna padać, późno już jest, któż zechce się zająć teraz białemi myszami. Nie zarobię już pieniędzy, a kraść nie będę!

— Rób, co ci się podoba — odrzekł Antonio, ale żebyś mi się nie ważył z niczem wracać do domu. — To mówiąc wyciągnął z kieszeni kawał piernika i zaczął zajadać ze smakiem.

— Ach, ty niegodziwy człowieku! — wykrzyknął Naldo z błyskiem gwałtownym w ciemnych oczach — to ty skradłeś pierniki i pozwoliłeś, że mnie wzięto za złodzieja. Nienawidzę cię, och, nienawidzę! Wolę umrzeć z głodu niż żyć z tobą. Madonna nie opuści mię ze swej opieki — owszem, ucieszy się, że odstąpiłem tak niegodziwego człowieka, jak ty. Byłeś dla mnie niesprawiedliwy i okrutny przez cały miesiąc, a teraz jesteś złodziejem! Oh, ja cię nienawidzę!

Cały przestrach Nalda zniknął, południowa krew jego wzburzyła się; — mówił głosem podniesionym, który na razie zmieszał Antonia.

— Jak chcesz, zasyczał wreszcie — odpłacę ci innym razem za cały dzień dzisiejszy. — A teraz marsz do miasta i ani się waż pokazywać mi na oczy bez pieniędzy.

— Nie zobaczysz mię już nigdy więcej, Antonio! — zawołał Naldo, ginąc w ciemnościach ulicy.

Antonio stał przez chwilę, nie wiedząc, co robić. Czy miał gonić chłopaka? Lecz rzeczywiście, pogoda była bardzo przykra, na zarobienie pięciu lirów było stanowczo za późno, a Naldo wyglądał tak jakoś dziwnie, strasznie. Czyżby zamyślał zrobić sobie co złego?

— Ba — wyrzekł, gdy wdrapawszy się po wąskich schodach do mieszkania, usiłował rozpalić ogień na kominku. — Jeżeli malec nic nie zarobi, wróci za godzinę, jak to często robił dawniej, może go nawet nie wybiję tym razem, bo z tem wszystkiem, on mi dostarcza dużo pieniędzy. Ja z moją katarynką zarobiłem dziś zaledwie cztery centy!

Ale gdzie Naldo poszedł, on sam tego nie wiedział.

Naldo biegł szybko, mijając jasno oświetlone ulice, których wesołość wydawała się szyderstwem z jego rozpaczy. Biegł tak długo, aż się znalazł w tej części miasta, gdzie domy, otoczone ogrodami, stały w pewnem oddaleniu od siebie i tu upadł na ziemię pod jakąś bramą, a ukrywszy twarz w dłoniach, płakał gorżko i długo.

Ciąg dalszy nastąpi.

Bluźnierstwo ukarane.

Jedna z polskich gazet donosi o następującym, smutnym wypadku, jaki zaszedł w Mysłowicach. W piątek 20 marca pewien robotnik zażądał od swej żony, aby mu zgotowała mięso na obiad. Żona z początku żadną miarą nie chciała na to zezwolić, w końcu ustąpiła. Nim atoli ten człowiek wziął się do jedzenia mięsa, zakrył wiszący krzyż na ścianie fartuszkiem mówiąc: ,,Teraz już mogę jeść spokojnie, bom zakrył P. Bogu oczy, przeto nie będzie widział, jak będę jadł mięso". Gdy na drugi dzień za długo leżał w łóżku, przyszła żona, aby go obudzić. ,,Poczekaj", odrzekł, ,,aż się dzień zrobi, to wstanę". Jakże przestraszyła się kobieta, a z nią i jej mąż, gdy się pokazało, że dla niego już więcej dzień nie nastanie; tej bowiem nocy utracił wzrok. Niechże ta straszna kara będzie przestrogą dla lekceważących sobie przykazania kościelne.